

Wampir

Hussair zaczął pisać to opowiadanie, niestety, zagryzł go wampir, więc ja musiałam je skończyć :-)



Zacząłem wchodzić po schodach. Mieszkałem na ostatnim piętrze kamienicy - wciąż tkwiły w niej dwie bomby z 1939, pozostawiono je jednak jako skarb narodowy i jedyny rzeczywisty wspornik konstrukcji - dlatego nie byłem skłonny wychodzić po zakupy sześć razy dziennie.

Dwa-trzy - to jeszcze miało sens. Joggingowy.

By oddalić od siebie ryzyko sześciokrotnego zejścia do sklepu mieszczącego się w suterenie kamienicy, a należącego do pruskobokobrodatego pana Szwindla-Johanna, wprowadziłem pewne procedury. Otóż schodząc w dół, powtarzałem sobie głośno listę zakupów, wchodząc zaś z powrotem... robiłem to samo. Po prostu sprawdzałem, czy niczego nie zapomniałem.

Co miało sens.

Po pierwsze - unikałem wielokrotnej wspinaczki, a w życiu nie zdobyłem góry większej od śnieżnej zasy na dziedzińcu.

Po drugie - nie było szczególnie miło wysłuchiwać piosenek Hitlerjugend, które pan Szwindel-Johann śpiewał od świtu do zmierzchu.

Po trzecie - dostawać w łeb od żony też nie było miło.

A Rokoszana nie pobażała. Wystarczyło wziąć dwanaście plasterów sera Edamskiego zamiast czternastu plastrów Pułtuskiego. I już łomot.

Wspinałem się po schodach, wzdychając i mamrocząc:

- Edamski, plastrów 12, jest... Tylżycki, plastrów 8 cieńszych, jest... Salami z grubym pieprzem, plastrów 14, jest... Na wysokości drugiego piętra poczułem silny zapach czosnku.

- Ciekawe, czy ktoś nabył ten sztuczny chiński, czy też nasz, wolny od modyfikacji - wymruczałem sarkastycznie. Byłem sarkastyczny. Ludzie, którzy schodzą z czwartego piętra po zakupy, które codziennie umila im pieśń Hitlerjugend, i którym co drugi dzień umila życie łomot od żony - tak, oni bywają sarkastyczni.

- Serdelków 70% wieprzowiny-30% drobiu, sztuk sześć, jest... Sos borowikowy, sztuk...

Zapach czosnku nasilił się i odruchowo zmarszczyłem nos. Przyszła też myśl, że to musi być jednak polski czosnek, a zaraz po niej... Zaraz niej nie przyszły żadne myśli, przez kilka sekund wystąpiła czarna luka oszołomienia i zgrozy w mym umyśle.

Co sprawił wielki czarny koc, który rzucono mi na głowę. Poczułem też jak wprawne, zaprawdę wprawne ręce, których mogło być dwie, ale mogło być i dwieście - rolują mnie w tym kocu i obwiązują uczyniony tłumok liną.

- Mamy wampira, psiakrew!

Obudziłem się zwinięty w kłębek ze strasznym bólem głowy. Pewnie dostałem. Rozejrzałem się dookoła siebie, choć związane ręce i nogi ograniczały moje możliwości. Pomieszczenie było całe obłożone wiankami z czosnku.

- Mamy wampira? - przypomniałem sobie ostatnie słowa, które słyszałem - Co do cholery się tu...

Otworzyły się drzwi.

Do pomieszczenia weszły trzy postacie. Ku mojemu zaskoczeniu, bardzo znane mi postacie. Byli to trzej synowie pana Szwindla- Johanna - Adolf, Josef i Heinrich. Trzy upasione, śmierdzące serdlami diabły, które torturowały mojego kota.

- Dość tych żartów, gnoje. Niech no ja tylko powiem to waszemu ojcu! - wykrzyczałem.

- To co? - zaśmiał się chrupkając Joseph.

Chyba to był Joseph. Wszyscy trzej są do siebie podobni. Małe knury.

- Dość! - krzyknął stanowczo Adolf, dając krok do przodu - mamy niezbite dowody, że pan jest wampirem, panie Petrescu. Przyznaje się pan do tego?

- Jakże na Boga? - zapytałem, ciągle nie wierząc w to co się dzieje.

- Ma pan rumuńskie nazwisko. A w Rumuni są podobno wampiry. Czy pana żona, Rokszana Petrescu również jest wampirem?

Adolf trzymał ręce z tyłu swojego ciała. W czasie całej naszej rozmowy chodził od ściany do ściany, patrząc w ziemię i co chwilę przytakując swoim własnym myślom.

- Nie, nie jest. To znaczy, ja też nie jestem. Głupie żarty, małe potwory. Proszę natychmiast mnie stąd wypuścić.

- Nie jest, no dobrze. - Adolf najwyraźniej zignorował moje groźby. - Wrócimy do pana po obiedzie.

Wyszli. Drzwi zamknęły się na cztery różne zamki. Wiem już, że nie jestem w piwnicy mojej kamienicy, bo słyszałem jak te sześć tłustych nóg wychodzi z budynku.

Dziś już nie wrócili. Ja przez całą noc próbowałem się wyplątać z lin, krzycząc o pomoc, tłuc nogami w ścianę i myśleć o mojej biednej Rokszance, która już pewnie odchodzi od zmysłów. Może wezwała policję? Może już zaczęli mnie szukać? Pewnie niedługo mnie znajdą.

Zapomniałem. Jeszcze się modliłem. Ale to też niewiele dało.

Drugiego dnia małe diabły przyszły przed szkołą.

- Przyznaje się pan do bycia wampirem, panie Petrescu? - zapytał poważny Adolf.

- Nie, nie jestem żadnym wampirem - wykrzyczałem.

Odwrócili się i wyszli.

Pomyślałem, że może gdybym się przyznał, że nim jestem, puściliby mnie wolno. Przecież to tylko dzieciaki.

Kilka godzin później wrócił sam Adolf.

- Przyznaje się pan do bycia wampirem, panie Petrescu?

- Nie.

- Ale my i tak swoje wiemy. Wrócimy jak odrobimy lekcje, wtedy sobie porozmawiamy.

Przyznam się bo widzę, że mój upór i ich upór tylko przedłuża cały ten koszmar.

Byłem już bardzo głodny. Przypomniałem sobie o serze, salami i serdelkach i aż mi ślinka pociekła. Gdy złapali mnie, torba z zakupami wyleciała mi z ręki. Pewnie Rokszana je znalazła i po tym poznała, że coś mi się stało.

Ciągle nie wierzę w to, co mnie spotkało. Nie wiem kiedy stąd wyjdę, co te potwory ode mnie chcą i nie wiem jak to się wszystko skończy. Te dzieci spaliły kota. Czy mogłyby zrobić krzywdę człowiekowi? Zranić? Zabić? Sam nie wiem...

Przyszli. Joseph rzucił mi jak psu kawałek kiełbasy. Była z ziemi a smakowała mi, jakby była podana na talerzu z luksusowej zastawy.

- Przyznaje się pan do bycia wampirem, panie Petrescu?

- Dlaczego uważacie, że jestem wampirem?

- Ma pan rumuńskie nazwisko, jak już mówiłem - Adolf jak zawsze był głosem i mózgiem całej tej trójki. - Nigdy nie kupuje pan czosnku i marszczy nos na jego widok, unika pan częstego wychodzenia z domu i jest pan nieśmiertelny.

- Nieśmiertelny? - powtórzyłem.

- Tak. Obserwujemy pana od ponad trzech miesięcy z drzewa naprzeciwko pana mieszkania...

I w tym czasie z rąk Heinricha wypadło coś co przyprawiło mnie o dreszcze i łzy w oczach. Naostrzony kotek. Taki, jakim w filmach przebijają serca wampirom.

Przestałem myśleć o tym, by przyznać się do mojej "winy".

- Co to ja mówiłem? - zaczął po chwili Adolf - Tak, od trzech miesięcy. I wyliczyliśmy, że dostaje pan od żony po głowie około 14 razy dziennie. To duża kobieta, więc i pewnie uderzenia są silne. Zwykły śmiertelnik pewnie już dawno by wyciągnął kopyta od tyłu ciosów dziennie.

- To absurd. To wszystko jest absurdalne, dziecinne i głupie. To nie są żadne dowody - mówiłem przerażony.

- A więc, Panie Petrescu? Jest pan wampirem?

- Nie jestem, Adolfie. I błagam cię, wypuść mnie stąd. Jesteś dobrym i mądrym chłopcem a to co robicie, to zwykłe okrucieństwo.

Adolf bez słowa odwrócił się i wyszedł. Reszta podążyła za nim.

Myślałem całą noc o sobie, o życiu, rodzinie, żonie. O tym co mi się udało, a co nie. Na koniec przeraziłem się myślą, że robie sobie rachunek sumienia. Jak przed śmiercią. Czyżby moja intuicja podpowiadała mi, że już czas na

takie przemyślenia. Czy śmierć się zbliża?

Kolejnego dnia nie przyszli przed szkołą ani zaraz po szkole. Przyszli wieczorem. Wiedziałem, o co zapytają zamiast powitalnego "dzień dobry".

- Przyznaje się pan do bycia wampirem, panie Petrescu?

- Nie.

- Umrze pan tu z głodu, jeśli się pan nie przyzna - powiedział przywódca.

- A jak się przyznam?

- Głód łamie nawet najsilniejszych - wysyczał z szyderczym uśmiechem Adolf.

To siedmioletni chłopak, najmłodszy z całej trójki, a ja nie wiedziałem co mam mu odpowiedzieć.

- Wypuść mnie - poprosiłem po raz kolejny.

- Pytam po raz ostatni, przyznaje się pan do bycia wampirem, panie Petrescu?

Patrzyliśmy sobie prosto w oczy. Nie wiem jak długo, ale zobaczyłem w nich całe piekło i zło tego świata.

- Tak, przyznaję się! - wykrzyczałem przyznając się do tego irracjonalnego oskarżenia.

I stało się to, czego się nie spodziewałem.

Całe to zło z tych małych oczek zamieniło się w strach. Strach małego, przerażonego dziecka.

Cała trójka zaczęła pisać i w panice przepychać się, któremu pierwszemu uda opuścić się ten "wywiad z wampirem".

Uciekli w popłochu. Drzwi się zatrzęsły. Hałas zamykanego jednego z zamków. Tupot trzech par nóg i pisk. To ostatnie dźwięki ze świata zewnętrznego, jakie usłyszałem. Potem już tylko cisza. Cisza, która po jakimś czasie stała się tak głośna, że aż bolały od niej uszy i głowa.

Umarłem z głodu po miesiącu. Na szczęście. Bo ta cisza była nie do zniesienia.

Autor: Strzyga

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl